

ROZMAWIAMY W SŁAWINIE
Z PANIĄ STEFANIĄ STĘPNIEWSKĄ
W DNIU 28. GRUDNIA 1988 ROKU

© ARCHIWUM WSKRÓCENIE

Jestem STEFANIA STĘPNIEWSKA z domu ŁOSIUP, urodzona 10.12.1926 roku w Mszanie powiat Brudek Jagielloński województwo lwowskie (określało się to Mszana koło Lwowa).

Rodzice moi zajmowali się rolnictwem, posiadali duże gospodarstwo. Gospodarstwo nasze, jak na ówczesne wiejskie warunki, było dosyć duże; ojciec posiadał około trzydziestu mórg ziemi. Matka z dziećmi zajmowała się gospodarstwem. Ojciec dodatkowo jeszcze jeździł do pracy do Lwowa, pracował na kolei.

Rodzina nasza składała się z siedmiorga dzieci. Było pięciu synów i dwie córki. Ja byłam piątym dzieckiem, młodszy ode mnie byli jeszcze dwaj bracia.

Mszana należała do bardzo dużych wsi, była ośrodkiem kultury. Przed wojną znajdowała się tam szkoła siedmioklasowa, a to było wymownym świadectwem poziomu kulturalnego wsi. Mieliśmy pocztę, kościół oraz dworzec kolejowy. Tak więc nie byliśmy pozbawieni możliwości korzystania bezpośrednio na wsi z wielu dóbr użyteczności publicznej. Wszędzie było tak blisko, iż bez trudu można było załatwić szybko wiele spraw. Łociągi kursowały co godzinę.

W 1939 roku ukończyłam siódmą klasę w Mszanie. Szkoła we wsi była polska. To była polska szkoła, w której obowiązywał jednak język rosyjski. Kierownik szkoły, Wiktor Legudko, był bardzo przyjemnym człowiekiem, zacnym, oddanym sprawie dzieci i szkoły. Bardzo dbał o szkołę. Wielu nauczycieli mieszkało w Mszanie i szkołę naszą prowadzili na odpowiednim poziomie. Do tej szkoły uczęszczały również dzieci rosyjskie. Odnosiliśmy się do siebie przyjaźnie, nie było między nami antagonizmów narodowościowych. Nie było żadnych nieporozumień czy narzekania, tak jak to się działo podczas wojny i po wojnie.

Nie było w naszej wsi żadnych z tych konfliktów narodowościowych, charakterystycznych dla cięższych przypadków tej wojny. Nie jestem dobrze zorientowana, ilu Ukraińców zamieszkiwało w naszej wsi. Sądzę, iż stanowili oni około trzydziestu procent mieszkańców wsi.

Wybuch wojny w 1939 roku pokrzyżował wszystkie plany naszej rodziny. Oddaleni uległa perspektywa kontynuacji mojej nauki w szkole we Lwowie. Starsi bracia poszli w 1939 roku na front. Wszyscy trzej bracia zginęli w 1939 roku. Ojciec musiał pozostać w domu. Bombardowano dworzec kolejowy w Mszanie, w pobliżu którego mieszkaliśmy. Odłamki bomb leciały pod sam dom. Musieliśmy się chronić, aby nas nie poraziło. Przed bombami uciekaliśmy w pole, aż do rzeki. Ojciec wykopał tam schron i w nim kryliśmy się.

Obrony Lwowa dobrze nie pamiętam. Pod Bródkiem toczyły się walki z Niemcami, lecz byłam jeszcze zbyt młoda, aby interesować się wszystkimi sprawami.

Niemcy byli u nas bardzo krótko. Zaraz po Niemcach wkroczyli

Rosjanie i już oni tam się gospodarzyli.

Obecności Niemców prawie nie odczuwało się: przeszli mimochodem, niemal niezauważeni.

o wkroczeniu Rosjan niemal wszystkie stanowiska zostały objęte przez nich. Władza Rosjan była odczuwalna na każdym kroku, na każdym szczeblu. Wszędzie rządzili się po swojemu: w szkole i w gospodarce. Przejęli szkołę, w której rządzili się na swój sposób. Rozpoczęto akcję przebudowy całej gospodarki w kierunku kolektywizacji. Społeczeństwo było przeciwne zakładaniu kolchozów przez Sowietów. Każdy miał swoją ojcowiznę, swój dorobek z dziada pradziada - teraz należało to wszystko oddać Rosjanom. Kolektywizacja rolnictwa spotykała się z oporami ze strony miejscowej społeczności wiejskiej.

Po wkroczeniu Sowietów we wsi zapanował ogromny smutek i strach. Z ich obecności nikt się nie cieszył, również i Ukraińcy. Wszyscy jednak skrywali swoje niezadowolenie w obawie przed zsyłką. Nie wolno było nic głośno mówić przeciw Rosjanom.

W 1939 roku zaczęto wywozić ludzi. Początkowo wywożono osoby zajmujące najwyższe szczeble w hierarchii państwowej. Ludzi piastujących wysokie stanowiska państwowe, strzelców, komendantów, dowódców, kierowników urzędów oraz samych urzędników wywożono na Sybir. Miejsce ich zsyłki w pierwszych wywózkach było dla wszystkich mieszkańców wsi oczywiste i nie budzące wątpliwości.

Po zesłaniu ludzi sprawujących władzę, kolejne wywózki objęły przeciwników tworzenia kolchozów. Kolchozy były głównym celem gospodarczym Sowietów. Ponieważ nie posiadając ziemi, inwentarza, sprzętu, Sowietci nie mieli od czego zacząć i początkowo niewiele mogli zdziałać w tym zakresie. Zaczęto więc wywozić

zamożniejszych gospodarzy na zsyłkę w głąb Rosji, celem przejęcia ich majątków. Los ten spotkał również moich rodziców.

To było w 1940 roku. Właściwie nikt nic nie przeczuwał. My, dzieci, właściwie niewiele z tego jeszcze rozumieliśmy. Rodzice wprawdzie bali się, że będą musieli oddać ziemię, krowy, żywiec, lecz możliwości zsyłki nie brali pod uwagę. Wkrótce jednak dochodziły i do nas wieści, iż Sowieci w różnych miejscowościach wywożą zamożniejszych gospodarzy. Teraz również i mój ojciec zaczął się bać.

Nocą 26. maja 1940 roku Rosjanie zapukali do naszych drzwi i wkroczyli do mieszkania. Ojcu nakazali, aby usiadł i nie ruszał się. Matka miała zapakować wszystkie najniezbędniejsze rzeczy, potrzebne dla dzieci do ubierania i jedzenia. Matka nie rozumiała, o co chodzi, od czego zacząć. Oznajmili, że nas wywożą. Wtedy ojciec powiedział:

- Proszę pana, zapakuj pan dla dzieci odzież, koce, jakieś prześcieradła, wszystko do worków. Powiąż to wszystko, bo będzie nam potrzebne w drodze.

Baliśmy się bardzo zsyłki, lecz nie zdawaliśmy sobie sprawy, że pojedziemy tak daleko. Tom był okrażony. Samochód podjechał pod same drzwi. Wszystkie toboły ładowano na samochód. Rosjanie trochę pomagali matce, która nie radziła sobie ze wszystkim. W ostatniej fazie załadowano trójkę dzieci, a następnie rodziców.

Najstarsza siostra, która wyszła za mąż, mieszkała na swoim gospodarstwie po sąsiedzku z nami. Rano szwagier wychodząc do pracy do Lwowa, posłyszał ujadanie psa. Zrozumiał, że dzieje się u nas coś niedobrego. Chciał zajrzeć, lecz Sowieci nie wpuścili go. Siostra ze szwagrem nie wiedzieli przez całą

wojnę, co stało się z nami.

Zawieźli nas do pobliskiego Janowa. Teraz tam jest powiat, lecz wówczas Janów był odległą miejscowością. Transport był już przygotowany. Dużo bydłowych wagonów było już załadowanych ludźmi i zaplombowanych. Z naszej wioski zabrano wraz z naszą sześć rodzin - cztery polskie i dwie ukraińskie. Do naszego wagonu załadowano również rodziny z innych miejscowości, z innych wsi. Okna były zakratowane. Drzwi zamknięto stabą. Nie było możliwości ani ucieczki, ani podania czegoś z zewnątrz.

W jednym wagonie było bardzo dużo ludzi. Na pryczach po obu stronach jeden leżał obok drugiego. Według mojej oceny w jednym wagonie znajdowało się znacznie powyżej trzydziestu osób.

Wagony z Janowa przetoczono do Lwowa. We Lwowie kompletowano następne wagony. Cały transport składał się z siedemdziesięciu dwóch wagonów. We Lwowie oczekiwała na nas siostra. Siostra podeszła, aby podać nam trochę jedzenia i papierosy. Okna znajdowały się wysoko, były małe, zakratowane. Trudno było to od niej wziąć. Nachyliłam się mocniej, a ona podała mi to na kiju do góry. Siostra była spłakana. Chciała, abym wzięła prześcieradko i spuściła się po nim na dół. Bardzo chciała, aby ktoś z jej rodzeństwa pozostał z nią. Było to niemożliwe.

Transport odszedł w kierunku Rosji. Wiedzieliśmy tylko tyle, że jedziemy w głąb ZSRR. Dzień, dwa, trzy, cztery i wiele następnych dni jechaliśmy w zamknięciu, w ogóle nie opuszczając wagonów. Po trzech tygodniach znaleźliśmy się w Ufie ~~za~~ przed Ufaem. Dopiero tam otworzyli nam wagony. Mogliśmy wyjść z wiadrami po zupę. Do tej pory przy większych stacjach dawano nam przygotowaną wodę, trochę chleba i jeszcze coś suchego do tego. Ludzie pozabierali ze sobą jakiś prowiant z domu i tylko dzięki

temu można było przeżyć.

Gdy minęliśmy Ural, po przejechaniu przez Tomsk, Omsk i Czelabińsk, zrozumieliśmy, że jedziemy prosto na Sybir. Po skierowaniu nas do Nowosybirska, wiedzieliśmy że nasza podróż już dobiega końca.

W Nowosybirsku wyładowano nas z wagonów. Wszystkich skierowano nas do łaźni, a nasze zawzione podczas podróży ubrania do gazowni. Przeprowadzenie dezynfekcji wymagało czasu - była nas przecież masa narodu, aż z siedemdziesięciu dwóch wagonów. Postój w Nowosybirsku potrwał chyba jeden dzień.

Następnie załadowano nas na kilka okrętów rzecznych. Okręty były dwu- i trzypiętrowe. Płynęliśmy w dół rzeki. W głębi ZSRR trwała jeszcze wiosna. Pamiętam wielkie spływające wody. Spod nich - poza czubkami drzew w tajdze - niczego nie można było dostrzec. Rzeką płynęliśmy w dół niziny.

Przypłynęliśmy do Parabieli. Niżej okręty już nie mogły popłynąć. W Parabieli rozładowano nas z okrętów. Zostaliśmy załadowani na barki, takie motorówki, którymi płynęliśmy jeszcze przez kilka dni. Przyjechaliśmy do Malinowki, położonej bardzo daleko w głębi ZSRR. Przez ten czas przybór wód zmalał, z każdym dniem wody ubywało, lecz nadal nie widzieliśmy niczego poza czubkami drzew.

.....

Do Malinowki przypłynęliśmy 28.06.1940 roku. Przybyło nas około trzystu osób.

Po przybyciu do Malinowki, na brzegu rzeki oczekiwali na nas Rosjanie. Pomogli nam rozładować się. Opiekowali się

nami podczas dalszego pobytu w Malinowce.

Rosjanie zaraz na początku zakomunikowali nam:

- Teraz tutaj jest wasza Polska. Gdzieś trzeba żyć i pracować. Tutaj trzeba karczować tajgę i zajmować się rybołówstwem. I tak należy żyć.

Dokuczały nam bardzo komary. Popuchły nam twarze, ręce i nogi. Ukąszenia komarów były nie do wytrzymania. Rosjanie zapewnili nas, że następnego dnia znajdą na to jakąś radę. Było nam bardzo ciężko. Następnego dnia dostaliśmy od Sybiraków igłę i nici do robienia siatki. Siatkę maczało się w dziegciu i zakładało na głowę w celu ochrony przed komarami. Być może siatka nieco łagodziła ugryzienia komarów, nikogo jednak nie uszczepiła przed zachorowaniem na malarię. Malaria, za wyjątkiem mego brata, nie ominęła nikogo z nas. To była straszna choroba, na którą nie mieliśmy początkowo lekarstwa.

Zakwaterowano nas w budynkach mieszkalnych, zwanych "budynkami dla przeżycia". Mieszkaliśmy po kilka rodzin w jednym budynku. Wszystkie budynki na Syberii były pobudowane z grubych drewnianych bali. Stały one na mokradłach. Smołą smarowało się całą powierzchnię ziemi przeznaczoną na budynek, aby dom nie zawalił się. Domy budowało się na balach. Podłogi były z drewnianych bali. Dachy zrobione były z desek. Deski na pokrycie młodzi mężczyźni piłowali jak najcieniej. Domy budowało się ręcznie, nie było tam żadnej mechanizacji. Również w środku wszystko było zrobione z drewna. Specjalnych mebli nie było. W budynkach znajdowały się drewniane prycze do spania i szafki na naczynia. Były piecyki do gotowania, które jednocześnie nas ogrzewały. Żadnych innych mebli nie było. Było tylko tyle, aby przeżyć. Okna były bardzo małe, ze względu

na to, aby jak najmniej ciepła uciekało podczas zimowych mrozów. Okna zimą były czymś uszczelniane, zazwyczaj kocami, które zabraliśmy z domów. Zimą całą noc ktoś siedział na zmianę i podkładał do piecyka, aby nie zagasł ogień.

Rosjanie patrzyli na nas i dziwili się:

- Boże, a skąd taki piękny naród przyjechał? Skąd tacy piękni biali ludzie przybyli?

Sybiracy, żyjąc przez całe lata w tajdze, niczego poza nią nie widzieli. Dlatego podziwiali naszą urodę, tak bardzo odmienną od ich wyglądu i ubioru.

Obecności żołnierzy oraz władz wojskowych w Malinowce nie odczuwała się. Przyjeżdżali tylko od czasu do czasu sprawdzić, co się dzieje i odjeżdżali. Nasze więzienie było bez zamków i kluczy.

Bez łódki człowiek nigdzie nie mógł ruszyć się. Jeżeli chciał przedostać się nad drugi brzeg, potrzebna była łódka. Nawet jeśli chciał pójść do drugiego mieszkania, również musiał korzystać z łódki. Początkowo posługiwanie się łódką wychodziło nam nieudolnie. W każdej chwili można było utopić się. Były tam różne wiry, niebezpieczne głębiny, w których wiele osób poniosło śmierć. Nie można było zbyt oddalać się od miejsca swego mieszkania.

Wkrótce wody opadły. Kosiliśmy trawę dla zwierząt i zajmowaliśmy się rybołówstwem. Do najcięższych i najgorszych zajęć należało karczowanie tajgi oraz spław drzewa. Do pracy szli wszyscy bez wyjątku. Również i ja musiałam pracować, mając zaledwie czternaście lat. Pracowałam w lesie przy drzewie, czasem kosiłam. Robiłam to, co mogłam. Normy nam nie wyznaczano, ponieważ pracowali dorośli, starcy i dzieci. Każdy chciał

pracować, aby otrzymać swoją porcję chleba. Trzeba było jednak pracować przez cały dzień. Latem można jeszcze było wytrzymać. Najciężej było zimą, to jest wprost nie do opisanie. W zimie pracowaliśmy przy drzewie - głodni i zmarznięci. Nie było co jeść, ludzie opadali z sił. A mimo to, musieliśmy ścinać jak najwięcej drzewa, aby było co spławić z nastaniem wiosny. Grube drzewa były obrabiane, zbijane, a następnie odprowadzane rzeką do wyżyny. Później to drzewo Rosjanie rozprowadzali po całym kraju.

Najwięcej było drzew cedrowych. Rosną na nich orzechy cedrowe. Wyglądają podobnie do naszych orzechów laskowych: mają skorupkę, a w każdej skorupce znajduje się jadalny orzeszek. Orzechy cedrowe są bogate w tłuszcze, olejki eteryczne, posiadają dużą wartość odżywczą. Orzechy cedrowe okazały się dla nas niezwykle pomocne zimą. Bardzo wiele orzechów gromadziliśmy w workach jako zapas na zimę. One trzymały nas przy życiu, stanowiły pewien rodzaj lekarstwa.

Do jedzenia dostawaliśmy czterysta gramów chleba dziennie, wszystkie osoby jednakowo - zarówno dorośli, jak i dzieci. Chleba było znacznie za mało. Czasami dawali nam jeszcze rybę, jednak ryba nie była przeznaczona dla nas. Rybę odprowadzano rzeką do poszczególnych centrów przetwórczych ZSRR. Jedzenia, które otrzymywaliśmy, stanowczo nie wystarczało nikomu.

Z zaopatrzeniem w żywność było bardzo źle. Jeżeli latem nie dostarczyli nam jedzenia, transport zimą był niemożliwy. Nie było tam żadnego połączenia, komunikacji. Od jednej miejscowości do drugiej trzeba było iść ponad pięćset kilometrów. Nigdzie nie było widać jakichkolwiek zabudowań. Większe zabudowania znajdowały się dopiero w miejscowości Narym.

Po roku czasu czuliśmy, że jesteśmy już na wykończeniu. Przyszła straszliwie mroźna zima, na którą byliśmy zupełnie nieprzygotowani. Na pierwszą zimę nie zostaliśmy zaopatrzeni nawet w walonki. Każdy chronił nogi przed mrozem tak, jak mógł. Najczęściej owijaliśmy nogi kocami zabranymi z domu. Ludzie zawijali sobie całą twarz. Pomimo tego zamarzało nam całe ciało. Ciało od mrozu było czarne. Ludzie odmrażali sobie ręce, palce i uszy. I tak - ci mniej ostrożni - pozostawali bez rąk, palców lub uszu. To była straszna zima. Mrozy były takie, że gdy człowiek splunął, do ziemi dolatywała zamarznęta gałka. Nie było widać kompletnie nic, nawet ptaszka.

W pierwszej zimie bardzo dużo ludzi umarło z głodu i mrozu. Z nadejściem wiosny zapanowała malaria, która jeszcze bardziej zdziesiątkowała szeregi zesłańców.

W Malinowce przebywaliśmy do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, niecały rok.

Miesiąc po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej przybył do nas z Nowosybirska jakiś wojskowy urzędnik, który powiedział nam:

- Jesteście wolni. Macie prawo wyjeżdżać w zasięgu nowosybirskiego okręgu. Od tej pory rodziny polskie są traktowane na równi z rodzinami rosyjskimi.

Dla nas to zabrzmiało jak drwina z jego strony. Przecież musiał rozumieć, na jak wielkie trudności napotkamy, próbując gdziekolwiek poruszyć się na tym pustkowiu.

W tym czasie powstawała na południu ZSRR powstawała w Kazachstanie Armia Sikorskiego. Kilku dorosłych mężczyzn wstąpiło do armii i wyjechało do Iranu. Nas do armii nie chciano przyjąć - dzieci były jeszcze za małe.

Sądzę, iż na pewno kierowały nami jakieś władze. Raczej nie jest możliwe, abyśmy mogli samowolnie, bez zezwolenia opuścić Malinówkę. Nie wiem natomiast, co było przyczyną, że nie wszystkie rodziny mogły wyjechać z Malinowki. Wśród tych rodzin, którym zabroniono opuścić Malinówkę, były przeważnie samotne matki z dziećmi, których mężowie i ojcowie zostali aresztowani. Urzędnik, który przyjechał z Nowosybirsk, nie pozwolił tym rodzinom opuścić Malinowki. Być może była to sprawa polityczna? Dla tych rodzin to była wielka tragedia i rozpacz, ogromne przeżycie. Każdy pragnął chociaż raz w życiu zobaczyć jeszcze swoją ojczyznę, swój rodzinny dom. Żał nam było tych rodzin, lecz przecież nie mogliśmy im w żaden sposób pomóc. Sami uciekaliśmy stamtąd przed śmiercią. Zima kosiła ludzi, dziesiątkowała rodziny. Ludzie wymierali całymi rodzinami.

Nie wiem, jak radziły sobie rodziny, które w Malinowce pozostały. Może wyjechały stamtąd następnym transportem? Może pomogła im trochę w tym Komisja Polsko-Radziecka? Po prostu nie wiem. Wiem tylko, że każdy na własną rękę borykał się z ucieką od śmierci. Przecież w Malinowce nie było życia!

W czerwcu czy w lipcu zasobniejsze rodziny, które miały jeszcze coś ze sobą, zakupiły u Rosjan duże barki. Było tych barek dwie lub trzy. Wybraliśmy się w drogę do wyżyny. Chcieliśmy przedostać się do jakiegoś większego ośrodka, zaludnionego zabudowania, aby zobaczyć trochę lepszy świat, aby widzieć ludzi i z nimi rozmawiać. Wszyscy, którzy mogli iść, szli pieszo wzdłuż brzegu rzeki. Tylko staruszkowie i dzieci płynęli na barkach, a młodszy wioślowali. Wędrówka nasza trwała kilka tygodni. Na szalę naszej podróży złożyliśmy swoje życie i śmierć. I tak przebyliśmy od Malinowki do Narymu pięćset kilometrów.

.....

Do Narymu dotarło Polaków w granicach osiemdziesięciu do stu osób. Narym był sporawym osiedlem. Była wytypowana uliczka, przy której po obu stronach znajdowały się domy. Większość mieszkańców Narymu stanowili Rosjanie. Rosjanie zajmowali się rybołówstwem. Gdy przyjechaliśmy do Narymu, była tam już pobudowana fabryka rybna, lecz była ona mała. Zajmowano się tam tylko soleniem ryb i wysyłaniem solonej ryby. Niektórzy Rosjanie trzymali krowy, właśnie te słynne krowy syberyjskie. Mieszkali tam już od dawna, z dziada pradziada. Zagospodarowali się tam, przyzwyczaili do takiego życia.

W Narymie brakowało siły roboczej. Wszyscy zostali zatrudnieni do pracy przy rybach. Byliśmy wycieńczeni i osłabieni, niedożywieni. Jakaż więc zdolność do pracy człowieka źle odżywionego! Jednak do pracy stanęli wszyscy.

Polacy zamieszkali w kilku domach, trzech, może czterech. W jednym domu mieszkało po kilka rodzin. Było jak w więzieniu, nie można było nigdzie uciec. Również i tutaj, aby gdzieś się poruszyć, potrzebna była łódka. Gdy wsiadało się do łódki, powrót zawsze był niewiadomy. W każdej chwili mógł wyskoczyć z rzeki niedźwiedź i zadrapać człowieka pazurami. Groziły niebezpieczeństwa także od innych zwierząt drapieżnych. Wilki były groźne, jednak najczęstsze wypadki śmiertelne spowodowane były przez niedzwiedzie. Wszędzie, na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, nawet wówczas gdy chodziliśmy do lasu po szyszki cedrowe. Najbezpieczniej było poruszać się w grupie.

Wśród Polaków było bardzo wielu mądrych i wykształconych ludzi. Byli księża, profesorowie i inni uczeni, którzy podjęli dzieło budowy wielkiej fabryki rybnej w Narymie.

Polacy pobudowali wędzarnię ryb, suszarnię ryb i chłodnię na składowanie lodu do konserwowania ryb przez całe lato.

Całą zimę pracowaliśmy przy zapełnianiu chłodni lodem. Zapas lodu był potrzebny na lato; latem rybę zasypywaliśmy lodem, aby nie zepsuła się.

Rosjanie byli bardzo zadowoleni, że podjęliśmy inicjatywę rozbudowy fabryki, ponieważ wszystka wędzona ryba szła dla frontu. Absolutnie wszystka ryba przeznaczona była dla frontu. Nic nie można było zostawić na miejscu dla siebie. Przychodziły łodzie i motorówki, na nie ładowaliśmy beczki, potężne skrzynie z wędzoną rybą. Ryba tam była olbrzymia. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie olbrzymie były te ryby. Do wędzarni nosiło się ryby pojedynczo. Ryba przerzucana przez ramię, dostawała do samej ziemi. Po jednej rybie zawieszało się na haku w wędzarni. Jesiotry były półmetrowej długości, były potężne nalimy i wielka donna oraz różne inne ryby.

Pod groźbą utraty pracy nie wolno nam było jeść wędzonych ryb. Jeżeli majster kogoś przyłapał na jedzeniu, natychmiast wyrzucał z pracy. Utrata pracy była najsurowszą karą. Pracą zapewniała wyżywienie, a więc przetrwanie. Ludzie pozbawieni pracy ginęli z głodu. Wielu umierało śmiercią głodową. Jednak, aby przeżyć, musieliśmy jeść. Dzięki pracy w fabryce rybnej, wielu utrzymało się przy życiu. Człowiek głodny, pomimo zakazu, musi zjeść za wszelką cenę. Były na to sposoby. Aby nie wyrzucano nas z pracy, jedna osoba musiała pilnować, pozostałe jadły rybę. Musieliśmy uważać, aby nas nie przyłapano na jedzeniu ryby. Każdy zdawał sobie sprawę, że wyrzucenie z pracy oznaczało koniec życia.

Apolonia - bardzo ładna dziewczyna, młoda, miała około szesnastu lat - ukryła pod pachami rybę dla rodziców. Majster przyłapał ją i zwolnił z pracy. Dziewczyna i jej rodzice wkrótce umarli z głodu.

W Narymie nie można było nic kupować, nie było żadnego sklepu. Żywność przywozili latem statkami i barkami z Parabieli, a do Parabieli dowożono ją innymi statkami. Żywność zabezpieczona latem, musiała wystarczyć na całą zimę. W zimie nie było możliwości, aby wyjechać i dowieźć.

Dzienna porcja chleba była zachowaną nadal - czterysta gramów chleba nie zmniejszało się. Jedzenia nie starczało. To było straszne: człowiek myślał tylko o tym, co dzisiaj zjeść, aby przeżyć. Każdy próbował radzić sobie we własnym zakresie.

Gdy jeszcze żyła matka, przywoziło się do jedzenia takie łupinki. Krzypiekało się to z obu stron na płycie i to się jadło. Zdobywaną mąkę mieszało się z trocinami i to się jadło. To było więcej objętościowe - jadło się to, aby tylko przeżyć.

Pamiętam, jak matka kiedyś pojechała dalej, na inne osiedle i za piękny garnitur ojca z bielskiej wełny dostała wiadro ziemniaków. To był prawdziwy sukces!

Nie wszystkie jednak wyprawy po żywność kończyły się tak pomyślnie. Kiedyś matka po żywność wybrała się sankami wraz ze Stefanem. Dowiedziała się, że niedaleko w odległości dziesięciu - dwudziestu kilometrów znajduje się osiedle. Szli przez las, szli i szli. Stefan ciągnął sanki, a matka je pchała. Gdy Stefan spostrzegł napis "daroga propaszczaja", powiedział matce:

- Mamo, musimy zawrócić! Jak dalej pójdziemy, to nigdy już nie wrócimy. Nikt nas tutaj nie znajdzie. Dalej nie ma już żadnej drogi. Dalej droga ginie i my również zaginiemy.

Uszli już około dwunastu kilometrów i musieli zawrócić. Na szczęście pozostał ślad po saniach. Wracali po tym śladzie i nie zagubili drogi. Na takim odludziu, bez żadnych zabudowań, na każdym kroku groziło niebezpieczeństwo ze strony zwierząt drapieżnych. Podczas takiej wyprawy człowiek był narażony na wszystko. Podziwiam bardzo odwagę swojej matki, która wybrała się po żywność w taką dalszą nieznaną drogę. Żywność była wszystkim. Nie ma w życiu nic gorszego od głodu. A tam nikt nas nie pytał, czy jesteśmy głodni, czy najedzeni; nikogo to nie interesowało. Gdy nie dowieźli żywności, nie dostawaliśmy nawet swoich czterystugramowych porcji chleba.

Ludzie strasznie umierali. Pamiętam swojego sąsiada. Szedł po śniegu. Był wyczerpany, nie miał już siły iść dalej, aby dotrzeć do domu. Usiadł, aby trochę odpocząć. Zamarznął na tym śniegu. Gdyby ktoś go podtrzymał, pomógł zejść, może by przeżył? Lecz nie było wówczas nikogo, kto ocaliłby go przed zamarznieniem.

Były i takie rodziny, które wymierały całkowicie. Wymarła cała rodzina Maskowiczów - pochodzili oni z Lwowskiego, dokładnej miejscowości nie pamiętam. Kuciakowa z dwojgiem dzieci również umarła. Najpierw zmarła matka, a dzieci pozostały same. Wkrótce jednak i one umarły. To była straszna rozpacz.

Również i naszej rodziny nie ominęła tragedia utraty najbliższych. W pierwszym roku, gdy przyjechaliśmy do Marymu, spotkał nas wielki cios. Matka zachorowała na malarię. Stan był bardzo ciężki. Nie było pomocy lekarskiej oraz leków.

Wkrótce matka zmarła. Miała pięćdziesiąt lat. Zmarła 22.07.1942 roku. Wkrótce po niej, na wiosnę, 8.03.1943 roku zmarł ojciec.

Matka, Katarzyna, ostatni kęs oddawała dzieciom, aby mogły przeżyć. Tak już jest, że matki same nie zjedzą, tylko oddadzą dzieciom. Gdy zaatakowała ją malaria, jej organizm był wycieńczony i nieodporny. Nie miała siły, aby zwalczyć tę ciężką chorobę.

Ojciec, Stefan, był bardzo dobrym człowiekiem, szanowanym i lubianym. Fakt przechodzenia jego imienia na dzieci, wskazuje na wielki autorytet ojca w rodzinie. Był bardzo dobrym gospodarzem, mężem i ojcem. W tych czasach, kiedy normalnie żył i pracował, miał się dobrze. W Narymie zmarł po prostu z głodu. Miał czterdzieści pięć lat, był młodszy od mamy. Usiadł przy piecyku: był bardzo spuchnięty z głodu, zmarł. Gdyby go odżywić, podać jeść, mógłby jeszcze żyć.

Gdy tatuś zmarł, nie było gdzie chować. Trupy zimą składano się na strychu. Pan Stawecki zrobił trumnę, którą wsunęliśmy na strych. Do wiosny nazbierało się tych trumien z osiem. Chowaliśmy dopiero, gdy puściły mrozy. Brat zrobił krzyż z wierzb, który odnawiał co roku na wiosnę.

W zimie ziemia zamarzała na głębokości ponad półtora metra. Kopać można było dopiero na wiosnę. Gdy wiosną robiło się trochę cieplej, wszystkie rodziny szły z łomami na cmentarz. Dawniej na cmentarzu w Narymie była jeszcze cerkiew, jednak została ona zburzona. Na cmentarzu kuliśmy łomami ziemię bardzo głęboko, aż dostawaliśmy się do warstwy ziemi miękkiej. To był spód zbiorowego grobu. Trumny składaliśmy jedna po drugiej. W ten sposób wszystkich chowaliśmy zbiorowo. Jedna osoba nie

dałaby rady samodzielnie pochować swojej rodziny.

Nie wszyscy jednak mieli siłę w ten sposób chować. Z innych domów grzebali na cmentarzu od razu w zimie - w śniegu. Na wiosnę, gdy śniegi topniały, a woda ruszała, wszystkie trumny z tymi zwłokami pływały. To było przerażające! Dopiero gdy woda opadła, można było kopać doły i zakopywać trumny. Było bardzo ciężko.

Po śmierci rodziców zostaliśmy we trójkę. Mieszkaliśmy w domu wraz z innymi rodzinami. Jeden brat miał pięć lat, a drugi siedem lat. Byłam najstarsza. Człowiek w takich sytuacjach zapomina o wszystkim co było dobre i miłe w dzieciństwie. W takich sytuacjach człowiek myśli tylko, jak przeżyć dziś. Czy się przeżyje? Czy się wytrwa? Co będziemy jeść?

Co będziemy jeść? - o, to było pytanie!

Swoją porcję chleba oddawałam braciom, żeby mogli przeżyć. Jednak dla nich to było za mało. Ryby nie mogłam im przynieść. Gdyby była możliwość wyniesienia dla nich ryby, na pewno mogliby uratować się dzięki temu. Najbardziej zagrożony był najmłodszy brat, Włodzimierz. Z głodu zaczął puchnąć. Ukazało się, że brat Stefan chodząc po chleb, zjadał po drodze wszystko lub bardzo niewiele zostawiał dla Włodzimierza. Włodek był już taki spuchnięty, iż rozumiałam, że zbliża się koniec. Zdecydowałam wysłać Włodka po chleb:

- Wiesz co, dzisiaj ty pójdziesz po chleb, a Stefan poczeka tutaj aż ty mu przyniesiesz.

Gdy wróciłam do domu, zastałam Włodka płaczącego.

- Czego płaczesz?

- Bo Stefan pogryzł mi ręce i odebrał mi chleb!

Strasznie to przeżyłam... Nie wiedziałam, jak uratować

bratu życie.

Wkrótce jednak przyszła do nas pewna Rosjanka i tak powiedziała:

- Wezmę tego chłopca. Niech pójdzie do mnie, tam coś mi pomoże. Dwóch moich synów zginęło na froncie. Nie mam już synów, więc chcę trochę pomóc tym chłopcom. Te dzieci bardzo się męczą, a ja strasznie przeżywam po śmierci swoich synów. Chcę zrobić coś dobrego dla innych, aby zapomnieć o swoim cierpieniu. Niech on pójdzie, to chociaż będzie mógł jeść.

- Może tego młodszego niech pani weźmie, Włodka - proponowałam.

Rosjanka jednak wybrała starszego, Stefana.

Byłam już trochę odciążona. U Rosjanki Stefan najadał się do syta i przynosił jeszcze coś do jedzenia dla Włodka. W ten sposób ledwo uratowaliśmy Włodka przed głodową śmiercią.

Stefan pomagał Rosjance tak jak dziecko: trochę przy zwierzątkach, czasem przypilnował domu, a także posiedział z nią i porozmawiał, aby nie czuła się taka samotna. Ta Rosjanka przebywała tam od dawna, chyba od urodzenia, tam byli jeszcze jej rodzice. Ubrania po swoich synach przerobiła dla Włodka i Stefana. Rosjanka bardzo chciała, abym zostawiła jej Stefana. Obiecywała wychowywać go jak własnego syna. Nie mogłam jednak ani rozdzielić ze sobą braci, ani też - ze względu na rodziców - z brata zrezygnować.

Rosjanie z Narymia pomagali nam niewiele, jednak dzieciom okazywali swoją pomoc. Pomoc dzieciom sprowadzała się do takich form, jak pomoc tamtejszej Rosjanki okazana moim braciom.

Było bardzo ciężko ze wszystkim. Nie dostawaliśmy żadnej

odzieży. Chodziliśmy w tym, co zabraliśmy z domu. Dopiero w końcowym okresie pobytu w Narymie otrzymaliśmy walonki, lecz to chyba jedynie dzięki pobudowaniu przez Polaków tak wspaniałego zakładu rybnego.

Również w Narymie - już w późniejszym okresie - dostarczyli nam chininę. Każdy miał pudło chininy, którą należało ciągle przyjmować. Dziwną dla mnie sprawą było to, iż mój brat Stefan nigdy na malarię nie zachorował. Był bardzo wątłej budowy, niezmiernie suchy i zagłodzony. Jednak był tak odporny, iż jego malaria oszczędziła. Wszyscy w domu chorowaliśmy, on chodził koło nas i zajmował się nami podczas choroby.

W Narymie szkoły nie było, dzieci nie uczyły się.

Mieliśmy swojego polskiego księdza. Nie pamiętam już jego nazwiska. Ksiądz chrzczył, gdy urodziło się komuś dziecko. Szedł za pogrzebem, gdy ktoś zmarł. Zapraszał na wspólną modlitwę. Stale odprawiały się modlitwy za nasz szczęśliwy powrót do kraju.

Lecz w kraju ci, co zostali, nie wiedzieli, co się dzieje z ich bliskimi. Człowiek skazany był na to, aby zginąć na zesłaniu w osamotnieniu i zapomnieniu. Nie było listonosza, nie można było nawiązać żadnej korespondencji z rodziną w kraju. Dopiero po wojnie, po przybyciu do Woroneża, napisałam pierwszy list do siostry. Było to w 1944 roku. Siostra wkrótce mi odpisała. Pierwszy list od siostry stanowił dla mnie wielkie przeżycie. Później już korespondowałyśmy ze sobą. U siostry była ogromna rozpacz: bardzo przeżywała nasze zesłanie oraz śmierć obojga rodziców.

Jeśli chodzi o zorganizowaną pomoc wśród Polaków, żadnej organizacji nie było. Każdy borykał się z własnymi trudnościami

i problemami. Każdy myślał o sobie. Było wśród nas wielu uczonych ludzi. Oni wszystkim kierowali. Ale cóż taki człowiek może zdziakać, kiedy myśli tylko o tym, co będzie jadł dziś, czy będzie miał jutro co zjeść! Taki człowiek już jest pozbawiony polotu umysłowego.

Pogrzebem rodziców zajmowaliśmy się samodzielnie. Trumny dla rodziców zrobił pan Ludwik Stawecki - za darmo, nie trzeba było mu płacić. Później Stawecki poszedł do Armii Kościuszkowskiej. Do Armii Kościuszkowskiej poszli i inni, również pan Grabowski, którego po latach spotkałam i rozpoznałam w Lublinie. Właśnie Stawecki i Grabowski oraz wielu innych pomagali wszystkim na wzajem zupełnie bezinteresownie. Lecz nie była to pomoc zorganizowana.

Dopiero w 1944 roku, gdy przyjechaliśmy do Woroneża, powstał Związek Patriotów Polskich. Tam działała Wanda Wasilewska, Zawadzki i inni. Tak więc o prawdziwie zorganizowanej pomocy można mówić dopiero w Woroneżu, po powstaniu Związku Patriotów Polskich.

W Narymie pracowaliśmy do jesieni 1944 roku. Dorośli mężczyźni opuścili Narym wcześniej: w 1943 roku wstąpili do Armii Berlinga.

Po powstaniu Komisji Polsko-Radzieckiej w Moskwie, staraliśmy się o wyjazd z Zakładu rybnego do Polski. Trzeba było mieć dokumenty, stwierdzające obywatelstwo polskie. Po rodzicach zachowałam legitymację ojca. Na podstawie tej legitymacji w 1944 roku zrobiono wstępną repatriację - nie do Polski, lecz w głąb Rosji. W takim stanie skrajnego wycieńczenia i wygłodzenia, w jakim znajdowaliśmy się, Sowieci przecież

nie mogli puścić nas w świat!

Wyjazd z Narymu zorganizowała Komisja Polsko-Radziecka, która zajmowała się repatriacją Polaków. Przyjechał do nas przedstawiciel tej Komisji, nazywał się bodajże Spała. Właśnie przez niego mam podpisaną swoją kartę repatriacyjną. Początkowo sprawą repatriacji zajmowano się w Moskwie. Nasza repatriacja odbyła się na rozkaz, odgórnie.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Narymu, już zupełnie inaczej zaopiekowano się nami. Dali nam na drogę trochę pieniędzy i ryby wędzonej do jedzenia. Ubrań nowych nie dostaliśmy, bo nie mieli. Każdy wracał w tych łachmanach, które mu zostały.

Jakaż to była wielka radość, że w końcu ktoś zajął się nami! Przecież my już byliśmy na stracenie. Nie mieliśmy już sił do żadnej akcji, działania, aby coś dla siebie uczynić. Zaczęto jednak starać się o nas. Zresztą sama Ameryka wysłała dla Sybiraków żywność i ubrania, które miały starczyć na pięć lat. Lecz prawie nic z tego nie dostaliśmy, pomimo takich straszliwych mrozów. Wanda Wasilewska powiedziała:

- Jak pojedziemy do kraju, wtedy będzie nam potrzebna odzież i żywność.

W międzyczasie, gdy zaczęła organizować się armia, wszystkie dobra przysłane dla nas przez Amerykę, przeznaczono dla wojska, dla frontu.

Gdyby Wasilewska nas podzieliła, zapewne nie jednemu uratowałoby to życie. Jednak zaplombowane wagony, pełne żywności i odzieży, poszły dla Czerwonej Armii. Uważam to za wielki błąd Wasilewskiej.

Latem 1944 roku zostaliśmy w wyniku odgórnych decyzji przesiedleni z Narymu. Jechaliśmy za Ural, w bok Moskwy, do Woroneża.

Początkowo płynęliśmy motorówką, później statkiem rzeczny do Nowosybirska. Z Nowosybirska przyjechaliśmy pociągiem bezpośrednio do Woroneża. Wagony już nie były bydłące, lecz osobowe. Były one bardzo zdewastowane, w ciężkim stanie, pokancerowane - chyba pozostałości z frontu. Podczas podróży otrzymywaliśmy herbatę i zupę na każdej stacji. Mogliśmy nawet śpiewać.

.....

W Woroneżu byliśmy jeszcze około półtora roku. Tam trochę odżyliśmy, nabieraliśmy sił. W Woroneżu było co jeść. Były tam pola uprawne i inwentarz. Dawali nam mleko, olej słonecznikowy, pomidory i inne pożywienie - wszystko bez ograniczenia.

Wszyscy obowiązkowo chodziliśmy do pracy do kołchozu. Kołchoz nazywał się "Ptice Sawchoz Pawłowka". Było tam pięćdziesiąt tysięcy kur, ileś tysięcy kaczek, stąd pochodziła nazwa sołchozu drobiu. Życie w kołchozach było bardzo ciężkie, tam nie można było żyć.

Miesięcznej pensji za pracę tam nie było. Płacono tylko raz w roku. Płacono pod warunkiem, że kołchoz wywiąże się ze swoich zobowiązań względem państwa. Plan był taki, iż nigdy nie można było go wypełnić. Więc i pracownicy nic już nie dostawali. Nam, Polakom, trochę płacili. Rosjanom było znacznie ciężiej żyć, żyli z tego, co wypracowali, co

im dali.

Pracowałam u boku słynnej lekarki weterynarii. Początkowo nie mogłam tam pracować - przeszkadzały mi leki, męczyły mnie wyjazdy. Trzeba było ciągle być w ruchu. Oględziny krowich stad, liczących po pięćset sztuk, były nużące. Później przyzwyczaiłam się. Anna Wasilijewna Gribajedowa była bardzo dobrym i szanowanym człowiekiem. Szybko mnie polubiła, a mnie dobrze pracowało się z nią. Anna Wasilijewna chciała mnie wysłać do szkoły i wykształcić na lekarza weterynarii. Ja jednak ciągle marzyłam o powrocie do Polski. Ze względu na wyjazd do Polski stanowczo odmówiłam nauki w szkole:

- Nigdzie nie pojadę, bo czekam na wyjazd do Polski.

Anna Wasilijewna Gribajedowa była tam jedynym lekarzem - zarówno weterynarii, jak i medycyny. Ona była doskonała, likwidowała przeróżne epidemie po tej wojnie. Jeździła do Moskwy, otrzymywała wielkie nagrody.

Często obydwie siadałyśmy nad rzeką i wówczas Anna Wasilijewna prosiła mnie, aby opowiedzieć jej, jak żyją ludzie w Polsce.

- Pani doktor, pani ma jeden jedyny fartuch. Musi go pani prać i na nowo ubierać. U nas w Polsce lekarz ma na zmianę - nie przesadzając - z dziesięć fartuchów.

To wprost nieprawdopodobne, lecz sławna pani doktor miała jeden jedyny fartuch!

Kiedyś w nagrodę za dobrą pracę Anna Wasilijewna dostała krowę, a ja prosiaka. Świnia była duża i piękna. Cóż jednak miałam zrobić z tym prosiakiem jadąc do Polski?

Pewna Rosjanka, której mąż zginął na froncie, zaproponowała:

- Dam pani trochę odzieży, a sama chętnie wezmę tę swinię.

- Bardzo dobrze, bo chłopcy nie mają w czym jechać. Dobrze by było, gdyby jeszcze pani przerobiła te ubrania.

W tym czasie jeszcze nie można było niczego kupić w Woroneżu. Koszule i spodnie były za duże na braci. Rosjanka je przerobiła. W ten sposób trochę przyodziała mi braci. Mnie dała swoje sukienki i buty.

Woroneż opuściliśmy w czerwcu 1946 roku.

.....

Wracaliśmy do Polski. To była radość, której nie da się opisać. Kołchoz dał nam na drogę trochę pieniędzy i żywności. Napiękli chleba i białego pieczywa. Dali nam samochód. Jechaliśmy nim z kołchozu do Woroneża. Na samochodzie przywiązaliśmy biało-czerwoną chorągiew, która powiewała w czasie podróży.

Z Woroneża do Polski jechaliśmy pociągiem. Transporty były bardzo długie, do Polski powracało masę narodu.

W Brześciu, przy przekraczaniu granicy, Rosjanie zorganizowali wiec, na którym usłyszeliśmy:

- Będziecie mówić, że źle tu wam się działo. Będziecie narzekać. Ale my nie boimy się was. Polska jest zależna od nas. To jest Polska sowiecka!

Z Brześcia jechaliśmy na zachód. Nie pamiętam, czy był to pociąg bezpośredni, czy z przesiadką. W każdym razie wszyscy repatrianci jechali prosto do Poznania.

W wagonach jechało wielu Żydów, stanowili oni połowę

transportu. W Polsce zawiadomili nasz transport, aby Polacy odznaczyli się od Żydów.

Tym razem już nie Rosjanie, lecz Polacy krzyczeli do nas:

- Żeby nie Polacy, wysadzilibyśmy ten transport w powietrze! Żydzi tutaj nie są nam potrzebni! Żydzi, gdy trzeba było walczyć, z czerwonymi opaskami uciekli. Teraz korzystając z repatriacji, gremialnie powracają do Polski.

Nie wiem, czy tak rzeczywiście było. Opowiadam, co osobiście usłyszałam. Wynikało z tego jednak, iż społeczeństwo polskie nie życzyło sobie przyjazdu Żydów do Polski.

Jadąc przez Polskę, na wagonach powiesiliśmy święte obrazy. A mimo to pociąg bombardowano na stacjach kamieniami. Jakąś Żydówkę trafiono w głowę. Cóż to była za tragedia!

.....

W Poznaniu spędziliśmy kilka lat. Gdy przyjechałam w Poznańskie, zostałam prawną opiekunką braci, zgodnie z sądową procedurą. Sędzia zawsze stawiał mnie za wzór, wysyłał listy pochwalne i nagrody, Zwracał się do pana Adamskiego, kierownika szkoły, do której uczęszczali bracia, aby zawsze o nas pamiętał. Były i takie przypadki, że w bardzo zamożnych rodzinach poumierali oboje rodzice, a osieroczone dzieci przyjmowały na wychowanie zupełnie obce rodziny. Rodziny te zabierały olbrzymie, stu pięćdziesięciu - dwustu morgowe gospodarstwa, lecz dzieciom robiły krzywdę, nie dbały o nie.

Jestem niezmiernie wdzięczna panu Wiktorowi Adamskiemu. Pan Adamski był dla nas bardzo dobry. Nigdy o nas nie zapominał. Gdy przychodziły zapomogi dla repatriantów, starał się, abym miała możliwość wybrania dla siebie najodpowiedniejszych

rzeczy.

Bracia byli bardzo opóźnieni w nauce. Obydwaj musieli robić po dwie klasy w ciągu roku. Pan Adamski wieczorami udzielał prywatnych lekcji. Nakazywał Włodkowi przychodzić na te lekcje, aby przerobić jak najwięcej zaległego materiału.

Z Poznania przyjechaliśmy do Lublina.

Trzeba było uczyć się, skończyć szkołę średnią, aby dostać lepszą pracę. Bracia poszli do innych szkół zawodowych, gdyż z zawodu wyuczonego w Poznaniu nie byli zadowoleni.

Po skończeniu szkoły średniej, pojechałam do Warszawy, gdzie kontynuowałam dalszą naukę. W Warszawie ukończyłam dwuletnie studium z dziedziny żywienia.

.....